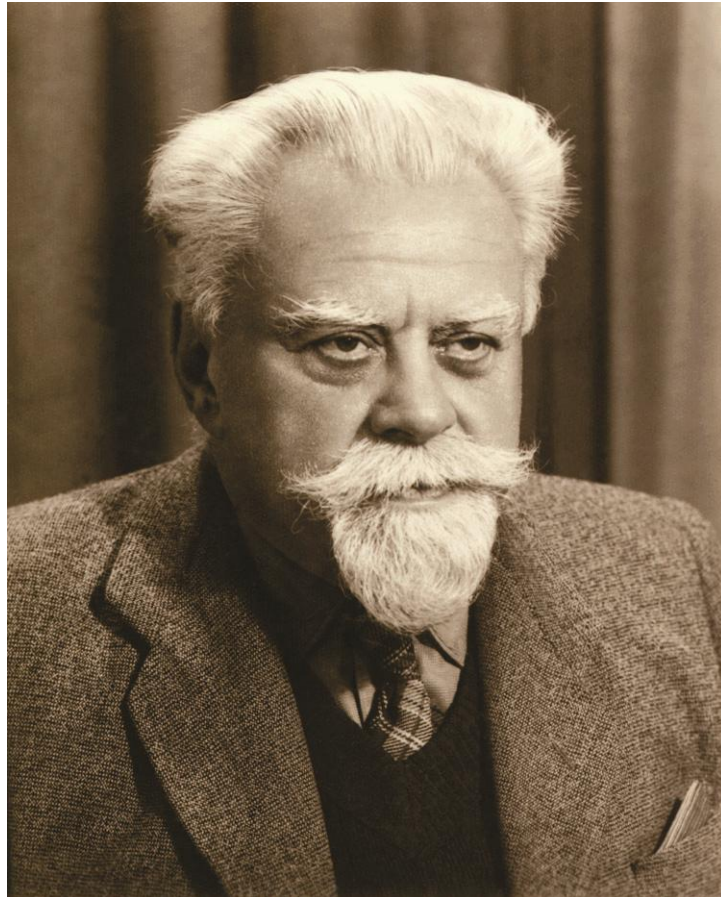


Romuald Kołodziejczyk

Doktor Zygmunt Klukowski



Fot. Biblioteka KUL

Dr Zygmunt Klukowski

W latach 2010- 12 usiłowałem przekonać proboszcza kościoła św. Katarzyny w Szczepieszynie do umieszczenia, wśród wielu innych, tablicy pamiątkowej dr Zygmunta Klukowskiego i jego syna Tadeusza, zamordowanego przez UB w wieku 22 lat za działalność w organizacji niepodległościowej „Kraj”. Niestety ksiądz długo mnie zwodził, aby wreszcie po otrzymaniu w tej sprawie oficjalnego pisma Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oświadczyć, że na tablicę się nie zgodzi, „gdyż w Szczepieszynie niezbyt dobrze się o Klukowskim mówi”. Byłem wstrząśnięty- po 90 latach nie można zapomnieć niektórych błędów młodości tak zasłużonemu człowiekowi?

Ale po kolei.

W latach 1945-47, byłem drużynowym drużyny harcerskiej przy Gimnazjum w Szczepieszynie. Moim przybocznym był Tadeusz Kościelski, wychowywany i usynowiony w 1947 r. przez Zofię i Zygmunta Klukowskich. Przyjaźniliśmy się z nim również poza harcerstwem, dodatkowo łączyło nas posiadanie niewielkiego „arsenału”, po którym zostały tylko fotografie. Od

rozpoczęcia w roku 1947 nauki w Liceum w Zamościu mieszkaliśmy razem w pokoju wynajętym u Państwa Składników przy ulicy Długiej 24.

Stąd i moje bywanie u państwa Klukowskich z różną częstotliwością, na różnych etapach życia doktora. W pierwszych latach po wojnie, kiedy dr Klukowski pełnił funkcję dyrektora szpitala i miał w nim mieszkanie służbowe, bardzo niechętnie widział, lub wręcz nie pozwalał Tadeuszowi przyprowadzać kolegów. Dla doktora mieszkanie było azylem, oazą ciszy i spokoju, w którym w czasie wolnym od pracy, a miał go bardzo mało, zawsze zbyt mało do potrzeb, zajmował się pisaniem, segregowaniem materiałów lub czytaniem. Każdy przychodzący przerywał mu pracę i odwracał od niej uwagę. Bywałem tam bardzo rzadko, tylko z okazji jakiś uroczystości Tadeusza w rodzaju imienin. Przychodziłem wtedy wraz z Cezarem Klusem siostrzeńcem szefa Zamojskiego Inspektoratu AK majora Markiewicza- „Kaliny”. Byłem, też z Klusem, kilka razy, kiedy państwo Klukowscy gdzieś wyjechali, wtedy też podciągaliśmy doktorowi nalewki, które trzymał w butlach w składziku.

Stąd, jeśli spotykam ludzi twierdzących, że byli w tym czasie częstymi gośćmi w domu Klukowskich, pytam złośliwie o rozkład pokoi, lub w którym pokoju sypiał Tadeusz. I z satysfakcją przyjmuję brak, lub mylną odpowiedź. Być może bywali, ale w latach późniejszych.

Jako ciekawostkę, zresztą ogólnie znaną, dodam, że na drzwiach biblioteki doktora widniał napis, iż żadnych książek nie pożycza, czego bezwzględnie przestrzegał. Opowiadania niektórych o tym jak korzystali z biblioteki Klukowskiego kładę między bajki.

Książkę pożyczył mi tylko raz. Ale dał nam do czytania słownik wyrazów obcych, z którego nauczyliśmy się z Tadeuszem wielu słów i mieliśmy satysfakcję stosując je w potocznej rozmowie tak, że często nasz rozmówca nie bardzo wiedział, co do niego mówimy.

Po pozbawieniu stanowiska dyrektora szpitala musiał doktor zrezygnować z mieszkania służbowego i przeprowadził się do znajdującej się naprzeciwko szpitala kamienicy Guzowskiego. Tam bywałem częściej. Pozostawiono doktorowi na pewien czas pomieszczenie w szpitalu, w którym znajdowały się jego zbiory, biblioteka i wszystkie potrzebne mu do pisania przedmioty. Tam przebywał doktor najczęściej. Stamtąd przychodził na obiad. Siedząc przy stole w oczekiwaniu na podanie zupy, czy drugiego dania, rękoma opartymi do przegubów o stół lekko bębnił palcami, usłyszawszy zaś, że ktoś poruszył jakiś miejscowy temat z zaciekawieniem zwracał się do niego z całą serią szybkich pytań: co, co, co, co.

Również w tym nowym mieszkaniu Tadeusz przyjmował niewielu więcej kolegów. Nabierał cech dra Klukowskiego, pewnego dystansu do otoczenia. Wyrażało się to postawą: widzę cię, witam się z tobą, ale nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Oczywiście wszystko to w taktowny i kulturalny sposób, który mógł mylić ludzi mniej subtelnych.

Podobnie i pani Zofia Klukowska nie lubiła w nowym mieszkaniu wielu odwiedzin. Potwierdza to Ryszard Guzowski, późniejszy inspektor oświaty w Zamościu, który był sąsiadem Klukowskich w kamienicy swojego dziadka- mój i Tadeusza rówieśnik i kolega. Była zręczliwa, aczkolwiek nie opryskliwa i bez złości do ludzi. Może tak nam się wydawało, może tylko dawała wyraz swojemu niezadowoleniu np. z tego, że nie wycieramy dokładnie butów. Sprawiała wrażenie osoby niezadowolonej z życia. Trudno jej się dziwić. Wyszła za mąż mając 22 lata za 46- letniego doktora, wg ówczesnych kryteriów dosyć starego

człowieka, który miał trzy namiętności: szpital, bibliofilstwo i pisanie. Na dom i żonę już nie wystarczało zapewne zbyt wiele czasu, a nie wiem czy panią Zofię interesowały specjalnie intelektualne zainteresowania męża. Państwo Klukowscy prawie nie utrzymywali stosunków towarzyskich i w tej sytuacji życie pani Zofii sprowadzało się w zasadzie do spraw przyziemnych, jak dbanie o porządek i czystość mieszkania, oraz na zajęciach kuchennych. W jej nieopublikowanych pamiętnikach to widać często: zakupy na targu, sprzeczki ze służącą, Tadeuszem itp.

Pani Zofia nie miała własnych dzieci, a Tadeusz zjawiał się w jej życiu, jako kilkuletni chłopiec. Jej stosunek do niego był dobry, ale oczywiście nie matczyny. Nawet po adopcji Tadeusza przez pana i panią Klukowskich w roku w 1947 nie używano w ich domu zwrotów: mama, tata, syn, lecz zawsze wymyślone wcześniej: o Zofii- Niunia, o doktorze Zygmuncie- Czusiek, które czasami bliższe było brzmieniu Tusiek, a o Tadeuszu Łeczek (od osiołeczek). Chociaż w swoim „Dzienniku” dr Klukowski nazywa Tadeusza raz czy dwa synkiem, to zwykle, tak doktor, jak i pani Klukowska, mówili o nim: Tadzik.

Doktor Zygmunt Klukowski, jak z wielu publikacji wiadomo, urodził się 23 stycznia 1885 r. w Odessie, jako syn Jordana, magistra farmacji i Felicji z Podkowińskich. W Moskwie, dokąd przenieśli się rodzice, pomagał rodzeństwu w prowadzeniu biblioteki polskiej, tam ukończył Gimnazjum i rozpoczął studia medyczne. Ponieważ w Rosji, po wybuchu rewolucji 1905 r. zamknięto wszystkie wyższe uczelnie, dalsze studia kontynuował w Krakowie, gdzie również ożenił się z koleżanką ze studiów Heleną Wojciechowską

Podczas studiów w Krakowie związał się z ugrupowaniem PPS, co doprowadziło go do aresztowania przez władze carskie podczas przewożenia „bibuły” z Krakowa do Warszawy i kilkutygodniowy pobyt w więzieniu.

Po uzyskaniu w Krakowie, w roku 1911, dyplomu doktora wszech nauk lekarskich wrócił do Rosji i po rocznych studiach uzupełniających na uniwersytecie w Kazaniu uzyskał nostryfikację dyplomu. Pracował w dobrach Radziwiłłów. Po wybuchu pierwszej wojny światowej został powołany do armii carskiej, jako lekarz wojskowy- najpierw na froncie, a potem w szpitalu wojskowym w Symferopolu.

W październiku 1918 r. znalazł się wraz z żoną i kilkuletnim synem Jerzym w Warszawie bez środków do życia. Przypadkowo spotkany kolega z krakowskich studiów okazał się z-cą lekarza powiatowego w Zamościu. Zaproponował Klukowskiemu posadę lekarza w Krasnobrodzie. Po rocznym tam pobycie dr Klukowski w 1919 roku objął stanowisko dyrektora szpitala w Szczebrzeszynie. Tu wykazał się dużym talentem organizacyjnym i doświadczeniem wyniesionym z Symferopolskiego szpitala. Zaczął specjalizować się w ginekologii i uzyskał w tym zakresie dużą popularność, klientelę i zarobki.

Jednak nie zdobył w okresie międzywojennym sympatii wśród hermetycznej i zacofanej społeczności Szczebrzeskiej. Hermetycznej z powodu braku, przez dziesiątki, a nawet setki lat, możliwości wyjazdu poza Szczebrzeszyn na studia, czy do pracy. Zacofanej, gdyż po zamknięciu przez władze carskie w 1852 r. ostatniej szkoły, przez 63 lata, czyli za życia trzech pokoleń, nie można było zdobyć w Szczebrzeszynie wykształcenia. Dopiero po wkroczeniu do Szczebrzeszyna Austriaków w roku 1915 utworzono szkołę powszechną- również w tymże samym czasie utwardzono wiodące doń drogi i doprowadzono linię kolejową.

Kiedy Klukowski zjawił się w 1919 roku, jako nikomu nieznany dyrektor szpitala, panował w Szczepieszynie i okolicy powszechny analfabetyzm, ciemnota i związana z nimi wiara w zabobony. A także niewykluczająca zabobonów „pobożność ludowa: masowa, silnie maryjna, koncentrująca się na emocjach i celebrze, a nie na zgłębianiu wiary”.

Przyjechał Klukowski do Polski po rewolucji bolszewickiej, jak to się w kręgach inteligenckich mówiło: „ukąszony przez Hegla”. Manifestując swoje ateistyczne poglądy zaczął urzędowanie od polecenia zdjęcia krzyży wiszących w salach szpitalnych. Po ostrych protestach mieszkańców Szczepieszyna był zmuszony zawiesić je z powrotem. Po opuszczeniu go w 1922 r. przez żonę i syna wyrobił sobie opinię hulaki, gdy, jak przyznaje w swoich pamiętnikach, podczas jednej nocy potrafił bawić się na kilku zabawach [sam?], po czym bezpośrednio przystępował do pracy. Po 9 latach „stanu kawalerskiego” chcąc zawrzeć w 1931 r. drugie małżeństwo i nie mogąc uzyskać rozwodu, opuszcza kościół rzymskokatolicki i w Wilnie przystępuje do kościoła ewangelickiego. Uzyskuje tam rozwiązanie poprzedniego małżeństwa i zakłada nowy związek z Zofią Szymańską liczącą 22 lata. Był to szok dla ultrakatolickich mieszkańców Szczepieszyna.

Deklarując publicznie swoją sympatię do PPS był dla społeczności Szczepieszkiej, zdecydowanych zwolenników endecji, prawie wywrotowcem.

Przez kilka pierwszych lat pobytu w Szczepieszynie uczestniczył w życiu towarzyskim miejscowych elit, a potem zerwał z nią wszelkie więzi. Uważał, że bywanie na obiadkach, kolacyjkach, brydżu u księży, lekarzy, aptekarzy i rejentów, z okazji świąt Wielkanocnych, Bożego Narodzenia, imienin czy urodzin, to strata czasu. Ostentacyjnie zlekceważył tym inteligencję Szczepieszką zapyziałą i nieruchliwą intelektualnie. Naruszył układy, jakie wytwarzają się w każdym małym miasteczku.

Traktował Żydów, jak wszystkich innych mieszkańców. W mieście, w którym tylko kilka sklepów było w rękach polskich, a kilkadziesiąt w żydowskich, zdecydowana większość kamienic należała do Żydów, a skup płodów rolnych i ustalanie ich cen (bardzo niskich z powodu braku konkurencji) należał w promieniu kilkudziesięciu kilometrów do żydowskich hurtowników. Stąd plotka, że podobno pochodzi z Żydów i naprawdę nazywa się Kluk.

Smutnym skutkiem tego ostatniego było zdarzenie w czasie okupacji niemieckiej, tak opisane przez samego doktora:

„Przyszedł dziś do mnie jeden z urzędników pocztowych i pokazał mi przechwycony na poczcie list anonimowy ze Szczepieszyna, adresowany do gestapo w Biłgoraju na imię gestapowca Majewskiego. Anonim podpisany literami XY pisany ręcznie niezbyt ortograficznie. Pierwsze oskarżenie jest przeciwko mnie, jako rzekomo zadeklarowanemu „bolszewikowi” m.in. pisze autor, że prowadziłem agitację komunistyczną w Seminarium Nauczycielskim..., że w 1939 roku w czasie pobytu u nas wojsk radzieckich osobiście zjawiłem się w magistracie i ofiarowałem im swoją współpracę. Na zakończenie autor zapewnia, że pochodzę z Żydów i że moje prawdziwe nazwisko jest „Kluk” Z jednej strony list ten ubawił mnie z powodu swej bezsensownej treści, zwłaszcza, gdy dowiedziałem się o moim żydowskim pochodzeniu, lecz z drugiej strony jestem pod nieprzyjemnym wrażeniem ludzkiej głupoty i podłości”.

Potrafił leczyć biednych za darmo, ale i pobierać dość znaczne honoraria, m.in. za, jak to szeroko opisuje w swoim pamiętniku, skrobanki. Pozwalało mu to żyć na wysokiej stopie. Jako jedyny w Szczebrzeszynie kupuje sobie samochód za 14,500 złotych, podczas gdy całoroczny budżet miasta wynosił około 40.000 złotych. Miało to miejsce w mieście ogarniętym ogromnym bezrobociem i niewyobrażalną dzisiaj biedą. Pracy było niewiele i to tylko dla ludzi posiadających jakiś zawód.

Naprawdę w wielu domach dzielono zapałki na dwie części, całą zimę jadło się kapuśniak i kartofle, a jako przysmak zacierkę, na przednówku rarytasem był chleb. Sporo moich kolegów w szkole wydłubywało zaprawę murarską z murów i zjadało ją, bo ich organizm upominał się o wapno tak potrzebne do wzrostu młodych kości, a odpowiedniego pożywienia nie mieli.

Żeni się dr Klukowski po raz drugi z 22-letnią dziewczyną mając 46 lat. Dzisiaj, po kilku dziesięcioleciach, taki związek wywołuje najwyżej wzruszenie ramion. Ale wtedy? Wywołał olbrzymie zgorzenie, uważano go za niemoralny. Na dodatek, ze względu na wiek znajomych i przyjaciół żony, zaczyna doktor prowadzić życie „młodzieżowe”. Zaawansowany, wg ówczesnych kryteriów, już wiekowo, siwy, niski i korpulentny towarzyszy żonie w grze w siatkówkę. Albo z wysiłkiem stara się dotrzymać kroku na 30 kilometrowej trasie narciarskiej młodej żonie i młodemu sędziemu. Lekarz i dyrektor szpitala! Ktoś, kto powinien dawać przykład maluczkim! Zgroza! Ile i jakie piękne tematy do plotek w każdym domu- inteligenta i analfabety.

Zdecydowana większość mieszkańców Szczebrzeszyna nic nie wiedziała o drugim obliczu dra Klukowskiego. Regionalisty, człowieka oddanego kulturze, w szczególności rozwojowi czytelnictwa, miłośnikowi książki. Współtwórcy muzeum i biblioteki miejskiej w Zamościu, „Teki Zamojskiej” i wielu, wielu innych przedsięwzięć kulturalnych i oświatowych. Nawet ci nieliczni, którzy o tym wiedzieli, gorszyli się tym, że organizował wystawy książek i oprowadzał po nich dzieci. Uważali to za dziwactwo, które nie przystoi poważnemu człowiekowi, lekarzowi, dyrektorowi szpitala. Ludzie na jego stanowisku po pracy zajmują się życiem towarzyskim, brydżem, może i czytaniem książek, ale nie oprowadzaniem dzieci po wystawach.

Sam Klukowski o tym pisze: „Ucierpiała natomiast bardzo moja opinia, jako lekarza... Tak się już ułożyło na prowincji, że jeżeli jakiś lekarz kilka godzin dziennie traci na grę w karty, a przy tym nie gardzi i alkoholem, to nic mu nie szkodzi, jako lekarzowi, gdy zaś inny ten sam czas zużywa na jakąś pracę naukową lub studia specjalne, lecz nie lekarskie, to się mówi, że medycyna go nie obchodzi”.

Dopiero podczas wojny wielkie zaangażowanie i działalność dra Klukowskiego w walkę z okupantem, kiedy mieszkańcy Szczebrzeszyna i okolic stali razem z dr Klukowskim w jednym szeregu, przynosi mu szacunek u znacznej części społeczeństwa. Szczególnie wśród pokolenia dwudziestolecia międzywojennego, które wyrosło na świadomych, wykształconych obywateli, umiejących docenić jego patriotyzm i działalność.

Jako nieprzeciętny historyk-amator zebrał niezwykły zasób dokumentów obrazujących terror hitlerowski na Zamojszczyźnie, wysiedlanie jej ludności, zagładę Żydów. A także walk oddziałów AK i BCh, w tym zbiór osobistych wspomnień uczestników tych walk, zarówno dowódców, jak i zwykłych żołnierzy. Były to relacje pisane „na gorąco”, swoiste dokumenty ówczesnej historii.

W prowadzonym przez doktora szpitalu leczyło się wielu rannych partyzantów. W jego mieszkaniu służbowym w szpitalu często przebywał ktoś z konspiratorów, odbywały się tam spotkania, a czasem narady dowódców oddziałów partyzanckich. Stąd znajomość licznych uczestników ruchu oporu.

Wszystkie zebrane dokumenty i relacje pozwoliły dr Klukowskiemu na zredagowanie i opublikowanie kilku tomów „Materiałów do dziejów i walki Zamojszczyzny”, a osobiste przeżycia do prowadzenia dzień po dniu kapitalnego „Dziennika z lat okupacji”, który stanowi do dzisiaj źródło wiadomości dla zajmujących się historią. Szczególnie część zapisów dziennika o początkowym okresie PRL stanowi dokument dotąd w Polsce niespotykany. O nasilającym się terrorze stalinowskim, o losach ludzi z okupacyjnego podziemia, o ich walce z nowym wrogiem.



Fot. Biblioteka KUL

Dr Zygmunt Klukowski w swojej bibliotece. Jej zbiory liczyły ponad 10.000 tomów, w tym największy w Polsce, liczący około 1.100 zbiór pamiątek lekarzy, także z powstań: listopadowego i styczniowego. Klukowski był odznaczony bardzo rzadką odznaką „Białego kruka” Towarzystwa Bibliofilów Polskich.

Szacunek i uznanie rośnie nie tylko na skutek jego publikacji, ale także dalszego zaangażowania w działalność niepodległościową, która doprowadziła go do czterokrotnego aresztowania przez UB. Pierwszy raz 12.1.1946 r. zostaje aresztowany wraz z Marianem Książkiem ps. „Nieuchwytny”, Aleksandrem Łysakiem ps. „Młot”, i Henrykiem Guzowskim ps. „Konar” późniejszym księdzem infułatem, kanonikiem gremialnym diecezji Gorzowskiej i prałatem Jego Świątobliwości Ojca Świętego Jana Pawła II.

Aresztowało ich UB z Tomaszowa Lubelskiego i tam też zostali osadzeni w więzieniu. Oskarżono ich o wzięcie udziału w zakończeniu kursu podoficerskiego WiN, które odbyło się 17.6.1945 r. koło Suśca. Dowodem były wykonane przez jakiegoś agenta zdjęcia, na których ich rozpoznano. Na zdjęciach były także inne osoby np. ks. Franciszek Kapalski kapelan AK i WiN, których UB-owcy z Tomaszowa nie mogli rozpoznać, a nie wpadło im do głowy, aby poprosić o to swoich kolegów z Zamościa. Ponieważ był to czas amnestii przetrzymano ich w areszcie tylko kilka dni z wyjątkiem Henryka Guzowskiego, który przebywał w więzieniu kilka miesięcy. Miał zresztą poważniejsze zarzuty niż pozostali, ponieważ prowadził tajną drukarnię.

Po raz drugi aresztowano doktora 24.6.1946 r. i osadzono w areszcie UB w Zamościu. Prawdopodobnie chodziło o areszt prewencyjny przed zbliżającym się referendum tzw. „3 x tak”. Żona doktora, pani Zofia Klukowska, przebywająca w tym czasie w Warszawie natychmiast interweniowała u ministra sprawiedliwości Henryka Świątkowskiego. Minister Świątkowski to przedwojenny zamojski adwokat, działacz PPS-owski, dobrze znający doktora z przedwojennej działalności kulturalnej. Interwencja pomogła, doktor został po czterech dniach zwolniony.

W listopadzie 1947 r. dr Klukowski brał udział, jako świadek wraz z trojgiem dzieci z Łodzi, w procesie czternastu funkcjonariuszy hitlerowskiego Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa, w tym pięciu generałów SS, odpowiedzialnych za wdrażanie ustaw rasistowskich, które doprowadziły do zagłady Żydów, wysiedlenia Zamojszczyzny i odbierania rodzicom polskich dzieci celem ich germanizacji. Proces odbył się w Norymberdze i był po głównym, międzynarodowym „Procesie Norymberskim” ósmym z kolei tzw. procesem „odpryskowym”, organizowanym już tylko przez władze amerykańskie. Klukowski brał w nim udział na prośbę amerykańskiego prokuratora, za zgodą ówczesnych władz polskich, które ze swej strony nikogo na proces ten nie delegowały, pomimo, że żywo obchodził on nie tylko mieszkańców Zamojszczyzny. Zeznawał ponad godzinę o akcji wysiedleńczej i zagładzie żydów.

Będąc tam pojechał na zaproszenie Polonii do Stuttgartu, gdzie w Księgarni Polskiej zobaczył książkę, której autorem był Jerzy Klukowski. Uprzejmy księgarz skontaktował ich i okazało się, że jest to rodzony syn doktora z pierwszego małżeństwa. Nie widzieli się, co najmniej od 1939 r. Student Politechniki Warszawskiej, zmobilizowany w 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej, skąd po wojnie wyemigrował do USA. W listopadzie 1947 r. mieszkał jeszcze w Niemczech Zachodnich wraz z żoną Wandą z domu Juskiewicz- córką leśnika z miejscowości Pieczysko woj. Nowogrodek przy samej przedwojennej granicy Polski z ZSRR, wywiezionej na roboty do Niemiec. Wtedy dr Klukowski po raz ostatni widział syna, a po raz pierwszy i ostatni synową i wnuka Andrzeja (Andrew). (Wg książki Wandy Klukowski „Dangerous Journey to Freedom” wydanej w USA.)

Niestety trzecie i czwarte aresztowanie doktora zakończyło się już wyrokami. W kwietniu 1950 r. został aresztowany pod zarzutem należenia do tajnej organizacji. Początkowo osadzono go w areszcie UB w Zamościu, a następnie w więzieniu na Zamku w Lublinie. Po roku śledztwa otrzymał wyrok dwóch lat więzienia. Zaraz po wyroku zwolniono go, ponieważ odbył już połowę kary. Na stosunkowo łagodniejsze potraktowanie go niż innych zadziałało zapewne to, że był już znanym historykiem, autorem książek ukazujących

gehennę Zamojszczyzny i zagładę żydów, świadkiem w procesie hitlerowskich oprawców.

Ostatni raz został zatrzymany w lipcu 1952 r. pod zarzutem, że „wiedział a nie powiedział”. Chodziło o to, że jego przybrany syn Tadeusz Klukowski działał od marca do lipca 1952 r. w nielegalnej organizacji niepodległościowej „Kraj”, a dr Klukowski wiedząc o tym nie powiadomił organów ścigania. Skończyło się to karą dziesięciu lat więzienia, co dla liczącego sześćdziesiąt siedem lat chorego poważnie na serce doktora, równało się wyrokowi śmierci. Tu dopisało szczęście, gdyż w 1954 r. objęła go amnestia. Dla Tadeusza zaś skończyło się wyrokiem śmierci wykonanym 16.06.1953 roku.

W czasie pobytu w więzieniu na Zamku Lubelskim, po aresztowaniu w 1950 r. i związanych z tym przeżyciami, oraz współwięźniowi, którym był prof. Czuma z KUL, dr Klukowski zaczął odzyskiwać wiarę. Po zwolnieniu w 1954 r. z więzienia we Wronkach postanowił powrócić do kościoła Rzymskokatolickiego.

Przygotowywał się do tego aktu z księdzem wyznaczonym przez biskupa lubelskiego. Najwięcej zawdzięcza jednak przyjacielskim rozmowom, czy wręcz naukom b. współpracownika z BiP-u ps. „Konar” ks. Henryka Guzowskiego, współwięźnia UB z Tomaszowa Lubelskiego, absolwenta Akademii Handlu Zagranicznego w Szczecinie i Wyższego Seminarium Duchownego w Gorzowie. Był z nim daleko mniej skrupowany w rozmowach o wierze, kościele, sakramentach świętych niż z księdzem wyznaczonym przez biskupa. Ksiądz Guzowski szczegółowo opisał ten proces odzyskiwania wiary przez dr Klukowskiego (opis w moim posiadaniu- patrz strona www.szczebressyn.pl).

Zmarł dr Klukowski w listopadzie 1959 r.- przyczyną był rak prostaty. Na pogrzebie, który odbył się w asyście duchowieństwa uroczyste ogłoszono fakt jego powrotu do kościoła rzymskokatolickiego.

I tylko żał, że dzisiejsza młodzież i średnie pokolenie mieszkańców Szczepieszyna nie wie jak naprawdę wyglądał doktor Zygmunt Klukowski. Pomnik, który tam się znajduje nie przypomina w niczym tego dr Klukowskiego, jakiego przez kilkadziesiąt lat oglądali ich przodkowie. Przedstawia, bowiem starego, chudego, schorowanego człowieka, jakim znał go autor pomnika.

Ja ciągle widzę go takim jak na powyższych fotografiach- człowieka mierzącego mniej niż 170 cm wzrostu, nazwijmy go zażywnego, jak idzie szybkimi małymi kroczkami w modnych wtedy butach „oficerkach”, co wyglądało, jak gdyby się toczył.

Ostatni raz widziałem go na Wielkanoc 1957 r., kiedy przyjechałem na święta do rodziny. Rozmawialiśmy na chodniku ul. Zamojskiej. Śpieszyłem się, gdyż wiozłem rocznego synka z temperaturą do dr Józwiakowskiego. Rozmowa nasza trwała krótko. Powiedział, że Tadeusz nie żyje- zaklinając mnie żeby o tym nikomu nie mówić.

Pracując na przełomie lat 60-tych i 70-tych w Lublinie byłem dwukrotnie u schorowanej pani Zofii Klukowskiej mieszkającej przy ulicy Szopena. Byłem z moim ojcem, który, jako przewodniczący koła żołnierzy AK w Szczepieszynie, przywoził jej niewielkie zapomogi. Narzekała, że ostatnie miesiące życia jej męża zatruł, jak to określała, zetempowiec nachodzący Klukowskiego i skłaniający go do przekazania mu posiadanych dokumentów.